

## A więc strzelać???

Od 2015 roku spodziewałem się tego, że któregoś dnia trzasną nadwerężone bariery humanitaryzmu i któryś z polityków europejskich w końcu powie: „Do barbarzyńców napierających na nasze granice trzeba strzelać!” Jak się okazuje, trzeba było blisko dekady rosnącego naporu i bezskutecznych wysiłków radzenia sobie z nim, podejmowanych w tym czasie w Europie.

Nie sądziłem jednak, że tym, który powie te słowa jako pierwszy będzie polityk post-liberalnego „głównego nurtu”, a już zupełnie nie przyszło mi głowy, iż może to być jakaś ważna figura z polskiej sceny politycznej. Myślałem raczej o jakimś angielskim prawicowcu z kręgu Nigela Farage’a, nie mogącym pogodzić się z faktem, iż Brexit wzmocnił, a nie osłabił naporu Azjatów, Arabów i Murzynów na Anglię. Albo o jakimś radykalnym Włochu z kręgu Salviniiego, doprowadzonym do rozpaczki przez bezsilne obserwowanie, jak napór ludzi płynących przez Morze Śródziemne niszczy delikatną tkankę włoskiej demokracji. Byłem pewien, że te słowa nie padną w Niemczech, bo choć wrogów obcej rasowo imigracji tam dziś nie brak, to w warunkach niemieckiej polityki oznaczać to by musiało wykluczenie z życia publicznego, a być może nawet aresztowanie.

Nie wykluczam, że marszałek Szymon Hołownia wejdzie trwale do podręczników historii właśnie jako ten, który jako pierwszy w Europie odważył się powiedzieć: „Trzeba strzelać”. Rzecz jasna, opatrując to

szeregiem zastrzeżeń, koniecznych w przypadku poważnego polityka z unijnego kraju. A więc strzelać nie do wszystkich, ale tylko do napierających na granicę bandytów, a przy tym mieć w pamięci, że wróg zza wschodniej granicy czeka tylko na jakąś okazję do większej prowokacji. Ale kto jest, a kto nie jest bandytą w zwartych i agresywnych hordach napierających na granicę, tego przecież nikt nie wie, a w gruncie rzeczy wszystkich można by zakwalifikować jako bandytów, skoro siłą próbują przełamać granicę obcego państwa. I tak samo rzecz ma się z tym dawaniem pretekstu potencjalnym prowokacjom; nikt nie powie przecież z góry, czy zastrzelenie paru największych gwałtowników atakujących granicę – to już będzie wystarczający pretekst, czy jeszcze nie. Tak czy owak, te szczegóły i niuanse nie są tu aż tak istotne, albowiem istotą rzeczy jest generalne przyzwolenie na to, aby do imigrantów (czasami) strzelać i ich po prostu zabijać.

W 2015 roku, zapewne pod wpływem obrazów muzułmańskich tłumów, zmierzających autostradami z Bałkanów do centrum Europy, filozof Piotr Nowak snuł najczarniejsze wizje przyszłych ich, a zarazem naszych losów. Nowak zakładał, że istnieje pewien trudny do wymierzenia punkt krytyczny, w którym liczba obcych rasowo „displaced persons” wywoła u nas – Europejczyków zbiorowy instynkt ich zabijania. I przewrotnie zapewniał, iż on sam nie ma strachu przed imigrantami, ale o imigrantów. Lecz w gruncie rzeczy strach, o którym pisał – to przecież nic innego, jak lęk przed ryzykiem naszej własnej autodestrukcji moralnej. Białostocki filozof podążał więc myślowym tropem sławnych żydowskich filozofów – Adorna, Baumana, a przede wszystkim Hannah Arendt. W drugiej części sławnych „Źródeł totalitaryzmu” Arendt sformułowała explicite dwa podstawowe niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą masowa obecność obcych, wykluczonych z obywatelstwa, czyli „ludzi zbędnych” – jak ich

nazywała. Niebezpieczeństwo pierwsze – to destrukcja systemów politycznych państw europejskich, które pękają w obliczu masowego napływu nie-obywateli, nie potrafiąc ich zasymilować. Drugie – to właśnie nieoczekiwane cofanie się cywilizacji, gdyż masy obcych i wyzuty z praw obywatelskich ludzi, nie chronionych przez żadne państwo, muszą wywołać przerażenie i wrogość, aż po pragnienie ich eliminacji.

Międzynarodowe instytucje szacują dziś, że u bram Europy czeka na okazję migracji jakieś 30 milionów takich „zbędnych ludzi”, głównie (choć nie wyłącznie) muzułmanów. Z czasem będzie ich zapewne więcej, a nie mniej. Jedni umrą, nim przedostaną się do Europy, ale zastępować ich będą ciągle nowi, liczniejsi. Trzy czynniki: demografia, klimat i łatwość przepływu informacji przesądzają o tym ze stuprocentową pewnością. Wbrew temu, co opowiadają europejscy politycy, o rzekomej możliwości „pomocy na miejscu”, która miałaby ten trend powstrzymać, nie mamy żadnego sposobu, aby nakłonić owe rosnące liczebnie masy do zmiany planów. Myśl, że zatrzymać ich może, choćby częściowo i tylko na jakiś czas, jedynie przemoc – rodzi się w takich okolicznościach, jako oczywistość. Do tej pory tą najstraszniejszą postacią przemocy miało być „wypychanie”, z moralizatorską namiętnością obnażone i potępione w filmie Agnieszki Holland, ale tak naprawdę – prawdziwie okrutne wtedy, jeśli stosowane na Morzu Śródziemnym. Nie tak dawno Unia rozpędziła kierownictwo Frontexu, tylko dlatego, że posądzono je o ciche sprzyjanie tego rodzaju praktykom. Alternatywą dla przemocy jest spójna i odważna logika papieża Franciszka, który przekonuje (np. w świetnej i przemyślanej ubiegłorocznej mowie z Marsylii), iż Europa w dawnych wiekach stała się sobą dzięki temu, że wpuszczała przybyszów, w ten

sposób wymieniając swoją ludność. Dla nas, którzy mielibyśmy teraz zostać poddani owej „wymianie”, z natury rzeczy to trudne do przyjęcia.

W przewalającej się przez Europę od dekady wielkiej debacie o imigrantach przyzwolenie na strzelanie do ludzi na granicach jest absolutną nowością. Czymś jak wyłamanie toporem zakłętej bramy, do której nikt nie śmiał się zbliżyć, albo roztrzaskanie etalonu, którym w liberalnej Europie odmierzano dotąd miarę humanitaryzmu. Zaś fakt, że inicjatywa takiego przyzwolenia wychodzi właśnie z Polski, sprawia, że rzecz cała wikła się jeszcze co najmniej w dwojakie komplikacje polityczne. Strzelanie na morzu, czy na południowych rubieżach Europy, może być moralnie okrutne, ale nie wikła Europy w żadne polityczne konflikty z niebezpiecznymi potęgami. Inaczej sprawa się ma ze strzelaniem na wschodniej unijno-natowskiej granicy; tu każdy strzał może zostać uznany za skierowany naprawdę w Moskwę, bo jak wiadomo – kremlowski tyran uznaje własne prawo zwierzchnictwa nad pozornie odrębną Białorusią. Potencjalnie zatem strzały na tej granicy są oddawane również (gdy idzie o ich sens polityczny) w toczącej się na wschodzie Europy krwawej wojnie. Przemoc jest tu zatem obarczona wyższym poziomem ryzyka politycznego, aniżeli na jakiegokolwiek innej unijno-natowskiej granicy.

Komplikacja druga bierze się z natury szlaku imigracyjnego przez Polskę, który za wszelką cenę chcieliby udrożnić nasi wrogowie ze wschodu. Każdy kto przytomny, da sobie rękę uciąć, że hordy próbujące przebić się przez polską granicę tworzą ludzie, którzy chcieliby „niewidzialni” przemknąć jakoś przez polskie terytorium, po to by udać się w głąb Zachodniej Europy, a przede wszystkim do Niemiec. Znany jest szeroko obrazek z początkowej fazy granicznego kryzysu, gdy

bardziej łagodnie nastawieni jeszcze migranci trzymali tablice z napisem: „Germany”, licząc, że w ten sposób łatwiej zostaną przepuszczeni. Zablokowanie tej granicy przez Wojsko Polskie może być więc odczytywane na kilka sposobów, w zależności od perspektywy, z jakiej kto chce na całą rzecz patrzeć.

Dla emocjonalnego patrioty jest to bohaterska obrona polskich granic, niemal taka sama jak we wrześniu 1939 roku, a żołnierze tam wysłani są obrońcami ojczyzny. Rozumiem ten punkt widzenia, aczkolwiek zawsze odnoszę wrażenie, że jest w nim trochę neoromantycznej przesady. Z kolei dla ideologicznego suwerennościowca, który lęka się unijnego federalizmu, odpieranie migrantów przez polską armię jest powinnością ideową, dowodzącą, że mocna granica jest ostoją państwa narodowego. Te dwa odczytania eksploatuje propagandowo polska prawica. Ale możliwe jest też odczytanie przez pryzmat gry realnych interesów narodowych, nazwijmy je „Hobbesowskim”. Widać wtedy, że choć jest to bez wątplenia polska „narodowa” granica, to przed naporem „zbędnych ludzi” bronimy nie tyle Polski, co Niemiec i reszty Europy. Każde państwo dąży do tego, aby jak najdalej od swych granic odsunąć własną strefę bezpieczeństwa (nawiasem mówiąc, taka jest też motywacja polskiego zaangażowania w niepodległość Ukrainy). Swego czasu Berlin w swoim interesie grał rolę „adwokata Polski”, zwłaszcza przy naszej akcesji do Unii. Teraz przyszedł czas na rewanż, więc Wojsko Polskie wyręcza Bundesgrenzschutz, broniąc Niemiec przed napływem „ludzi zbędnych”. Marszałek Sejmu zdaje się sądzić, że w tym wyręczaniu winniśmy posunąć się aż do strzelania do ludzi. Czy aby jesteśmy tego pewni?

*Jan Rokita*